



LUCIE YI  
NIE JEST  
ROMANTYCZKA

LAUREN HO



LAUREN HO

LUCIE YI  
NIE JEST  
ROMANTYCZKA

PRZEŁOŻYŁ  
Ryszard Oślizto



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*Lucie Yi Is Not a Romantic*

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik  
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk  
Redakcja: Ida Świerkocka  
Korekta: Małgorzata Denys  
Projekt i opracowanie graficzne okładki: Anna Jamróż  
Ilustracja na okładce: © Anna Jamróż  
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2022 by Thetoos Private Limited

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Ośliżło, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.  
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki  
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania  
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2023  
ISBN 978-83-8321-148-0

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



## Rozdział 1



Tej soboty Lucie Yi zmierzała do pastelowego świata So Bébé z zamiarem kupienia po jednej parze lekkich, dzierganych bucików na lato i może jeszcze po czapeczce do kompletu dla każdego z nowo narodzonych trojczków swojej przyjaciółki Weiny Ling. Żadnych ekstrawagancji.

Przyszła jesień, a z nią przesywający do szpiku kości deszcz. Było jeszcze wcześniej, ale w tej części dzielnicy Tribeca na Dolnym Manhattanie sklepy już stały otworem, ogrzewane ciepłym powietrzem. Lucie w znoszonych butach do biegania i z włosami jak zwykle spiętymi w niski kucyk przemknęła obok kawiarenek kuszących sezonowymi latte i maślanymi pysznościami na gorąco. Miała misję do spełnienia – sklep So Bébé, który nigdy nie bawił się w żadne pospolite wyprzedaje, właśnie urządzał wyjątkowy Kiermasz Jesienny. Wszystko tańsze o piętnaście procent, bez drobnego druczku. Stąd ta podekscytowana kolejka przed wejściem, jeszcze zanim otwarto drzwi, a kiedy Lucie wreszcie znalazła się w środku, całe So Bébé już roilo się od łowców okazji ubranych w sukienki od drogich projektantów i rozpychających się w zatłoczonych alejkach ostrymi jak noże łokciami. Powietrze cuchnęło kartami kredytowymi i ślepą ambicją.

Lucie zacisnęła mocniej poły pikowanej kurtki. Szczerze mówiąc, zastanawiała się nad kupieniem wszystkiego przez internet, ale pokusa niespiesznego spacerku z korzenną latte w rękę po zakupach okazała się zbyt trudna do odparcia. I w rezultacie znalazła się w tej obcej sobie krainie, gdzie właśnie dorwała ją sprzedawczyni, niejaka Erin, z kucykiem w kolorze truskawkowy blond, której jakimś cudem udało się odciągnąć Lucie od półek z dziecięcymi ubrankami i zawlec ku wystawie niemowlęcych kokonów z tkanin high-tech, które „kiedyś całkiem zastąpią tradycyjne beciki”, i „czy da pani wiarę, jaka mięciutka jest ta ekobawełna, a do tego odporna na steranie”. („Chyba nigdy w biurze nie pracowała?”).

Lucie potrząsnęła głową, żeby zebrać myśli, i przyjrzała się otulaczowi MamaOneWrap, wyglądającemu jak zapinany na rzepey kaftan bezpieczeństwa dla bobasów. Czy ta sprzedawczyni serio powiedziała „steranie”, czy jednak „ścieranie”? I gdzie można dostać coś takiego w rozmiarze dla dorosłych? Chętnie sama by się w to zakutała. Ostatnio udało jej się przespać całą noc dwa dni temu.

– Przyszłam tylko po buciki – wymamrotała.

Erin nachyliła się bliżej i wyszeptała konspiracyjnie:

– Ale jeśli zapisze się pani dzisiaj do klubu So Bébé, dostanie pani dwudziestoprocentową zniżkę na wszystko – oznajmiła. – Więc ten otulacz, którego nigdy nie przeceniamy, kupi pani za bezcen!

Lucie nie miała serca powiedzieć Erin, że prawdopodobnie mogłaby kupić coś podobnego na chińskim Taobao za jedną czwartą ceny.

– Ale co to właściwie robi?

– Co to robi! – wykrzyknęła Erin. – A czego nie robi? Chwilczkę. – Złożyła ramiona kokonu, który nagle zaczął niepokojąco wibrować i wydawać melancholijne dźwięki melodii, której Lucie

nigdy nie wybrałaby na kołysankę. – To Czajkowski – oświadczyła Erin z uśmiechem.

Czoło Lucie zrosił pot. Zdarzało się to dość rzadko, ale czasami aż nią trzęsło, kiedy słyszała muzykę fortepianową albo słowa, które brzmiały jak „Kumon”.

– To... miło.

– To rewolucja! Maluszki zasypiają raz-dwa. No i... *voilà!* – Erin, węsząc słabnący opór, zaczęła wychwalać wyjmowalny wkład oraz wiatroodporną, plamoodporną i certyfikowaną znakiem Oeko-Tex tkaninę wierzchnią.

Lucie potarła skronie. Była umówiona na Zoomie – zerknęła na zegarek – za dziewięćdziesiąt pięć minut.

– To ustrojstwo wygląda na strasznie niewygodne. Krępuje ruchy.

Nagła konsternacja na dźwięk słowa „ustrojstwo”, zbyt szorstkiego, nie dość mięciutkiego jak na ten puchaty sklep. Erin zamrugała i odzyskała rezon.

– Och, maluszki są zachwycone. Jakby wróciły do łona – stwierdziła z przekonaniem kogoś, kto był kochany bezwarunkowo.

Lucie – dręczona klaustrofobią, a okresowo myślami o matkobójstwie – zadrzała. Przecież dopiero co się stamtąd wyrwała.

Erin nie dała się zbić z tropu.

– Ten otulacz jest jak matczyne objęcia, tylko lepszy, bo nigdy go nie zabraknie.

Lucie zerknęła na etykietkę z ceną i poczuła wdzięczność za swoją twarz pokerzysty. RoboCop-otulacz kosztował prawie sto dwadzieścia dolarów za sztukę. Czy materiałowe otulacze nie były cztery razy tańsze? No ale ten symulował matczyne objęcia! A jeśli – czym marketingowa gadka Erin wręcz ociekała – miałby w przyszłości oszczędzić dzieciom terapii... Westchnęła. Teraz, kiedy ujrzała MamaOneWrap i wysłuchała tych wszystkich

peanów pochwalnych, buciki i czapeczki wydały jej się strasznie nijakie – nawet te z wystawy, jasnobeżowe, kaszmirowe i spiczaste, wyprodukowane bez wykorzystywania dziecięcej siły roboczej („W przeciwieństwie do czego?”).

– Wezmę sześć – powiedziała.

– Sześć! – pisnęła Erin radośnie. Jej uśmiech mógłby rozgrzać Słońce. – W takim razie koniecznie w różnych kolorach. Jest cała gama do wyboru. A nawet specjalna edycja z nadrukami. Przyniosę kilka, żeby je pani zobaczyła na lalce. – Wyjęła wielkiego bobasa o spłoszonym wyrazie twarzy, pszenicznej czuprynie i niebieskich oczach. – To jest Ri, jedna z naszych neutralnych płciowo lalek w naturalnym rozmiarze mniej więcej trzymiesięcznego maluszka. – Może i neutralna płciowo, ale bardzo biała. – Mamy też Avi, która jest mocniej, hm, ubarwiona. – Twarz Erin spąsowiała.

– Może być Ri – odparła Lucie, rozkojarzona nijaką gładkością między nóżkami lalki i jej dziwacznie drgającymi powiekami.

Erin odetchnęła.

– Okej, pójdę po demonstracyjne egzemplarze! – I już jej nie było. Na ladzie został samotny otulacz, niczym pusta skorupa.

Jakaś kobieta po siedemdziesiątce przystanąła, żeby się przyjrzeć.

– Słyszałam o tym. – Zmarszczyła nos. – Czy to nie lekka przesada?

– Wibruje – odparła Lucie zmęczonym głosem.

– Produkują za dużo przekombinowanych gratów – zawyrokowała kobieta. – Za moich czasów zakładało się dziecku pieluchę i jak przetrwało dzień, wiadomo było, że da radę.

Ostentacyjnie wybrała z pobliskiej półki zestaw otulaczy. Lucie spuściła wzrok. Nie zamierzała dyskutować z kimś, kto pewnie myśli, że Panic! at the Disco to jakaś sensacja dnia w wiadomościach.

Erin wróciła i rozłożyła na ladzie wszystkie wzory. Gama kolorystyczna kaftanów bezpieczeństwa dla bobasów obejmowała biel, róż, błękit, pastele, szarość i kilka nadruków z uroczymi zwierzątkami i owocami. Lucie wybrała dwa z nadrukami (hipcie i ananasy) oraz jeden gładki, gołębioszary.

– Po dwa z każdego, poproszę. – Podała Erin swoją kartę kredytową.

Sprzedawczyni skinęła głową.

– Doskonały wybór. Już wołam Friedę – szybki sygnał do czającej się w pobliżu pracownicy o krótko przyciętych brązowych loczkach, też wyszczerzonej – żeby wbiła je na kasę, a ja pokażę, jak uroczo będzie wyglądał maluszek w naszym otulaczu.

Elegancki sklep to taki, w którym obsługa wciąż cię zapewnia, że dokonałaś znakomitego wyboru, mimo że już zapłaciłaś.

Lucie pozwoliła, żeby Erin opatuliła lalkę kaftanem w ananasy, a zawiniątko wepchnęła jej w objęcia.

– Proszę potrzymać, przekona się pani, jak niewiele waży.

Lucie przycisnęła do piersi Ri, która przestała mrugać i teraz wbijała w nią swoje prawie kobaltowe oczka. Lucie przymknęła powieki i wciągnęła powietrze. Otulacz albo lalkę nasączono jakimś mlecznym, kojącym zapachem rumianku, talku i bergamotki.

– Nie jest tak źle – wymruczała, zastanawiając się, jak jej przyjaciółka radzi sobie z karmieniem piersią całej trójki naraz. Weina ciągle powtarzała, że jest za stara na tę potrójną niespodziankę i że ma tylko jedną parę cycków, a maluchy są słodkie, ale wiecznie głodne, więc czuje się kompletnie wypompowana. No i czasem jej się te pociechy myliły, więc musiała napisać ich imiona na mięciutkich, pulchnych piąsteczkach...

Lucie zaczęła drżeć.

– Dobrze się pani czuje? – Głos Erin docierał jakby z oddali, bo Lucie się śmiała... i łkała. Głośne szlochy wstrząsały jej pierśią bez szans na ich ukrycie.



– Tak – wykrztusiła, kiedy w końcu udało jej się odezwać. Pociągając nosem i ocierając grzbietem dłoni zbląkane łyzy, starała się mówić normalnym głosem. – Właśnie przeszłam laserową korekcję wzroku i oczy mam t-takie... suche.

Erin wprawnym ruchem wyjęła Ri z objęć Lucie, po czym zanurkowała za ladę i zaczęła opróżniać chustecznik w takim tempie, że mogłaby zostać asystentką magika. Jeśli nie przekonała jej wymówka o korekcji wzroku, nie dała tego po sobie poznać.

– Proszę – powiedziała, wciskając chusteczki w dłoń Lucie. – Proszę to wziąć.

Lucie wydmuchała nos serią głośnych smarknięć.

– Dziękuję. Przepraszam.

– Nic się nie stało – odparła Erin, jakby szloch (dorosłej kobiety) w ekskluzywnym sklepie z artykułami dziecięcymi były na porządku dziennym. – To się zdarza częściej, niż mogłoby się wydawać. – Może to i racja. Kobieta wyciągnęła ręce ku Lucie, która przyjęła uścisk z niespotykanym brakiem oporu. – A biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje od dwóch lat, to zachowanie zupełnie normalne.

Normalne. „A co jest normalne w dzisiejszych czasach?” – myślała Lucie, gdy Erin gładziła ją po plecach, mrużąc uspokajająco. Mimo swoich trzydziestu siedmiu lat nie miała zielonego pojęcia.

## Rozdział 2



Lucie wracała do domu kompletnie oszołomiona, z łupem **L**z So Bébé w dwóch bawełnianych torbach na ramię, ale bez korzennej latte, o której zupełnie zapomniała. Czuła się zawstydzona. Co ją napadło, żeby się tak rozkleić? To było do niej niepodobne. Zawsze się kontrolowała, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie. To ona była RoboCopem.

Przystanęła przy fontannach Bosque w parku The Battery, żeby popatrzeć na ćwiczącą tam swoją ulubioną grupę taneczną. Instruktorka o imieniu Sangwany zawsze do niej machała, zachęcając, żeby się przyłączyła, a Lucie zawsze odmawiała. Stało się to już prawie tradycją. Lucie usiadła na ławce i patrzyła na wirujących tancerzy, wyginających ciała w sposób zarazem znajomy i osobliwy. Ten widok zawsze ją uspokajał; dzisiaj nie poczuła nic. Wstała po kilku minutach i ruszyła do domu.

Kiedy weszła do mieszkania, zostało jej jeszcze trzynaście minut do umówionego spotkania na Zoomie, jednego z zaledwie dwóch zaplanowanych na tę sobotę. Klient, dyrektor generalny przedsiębiorstwa produkującego polimery, był zainteresowany optymalizacją podatkową jego europejskich struktur w świetle nowego prawa. Jej firma zajęła się tym klientem, bo Lucie miała

bogate doświadczenie w restrukturyzacji międzynarodowych podatków. To był jej żywioł. Powtarzała to sobie, żeby psychicznie przygotować się do rozmowy. „Jesteś najlepsza. Jesteś najlepsza”. Zrobiła nawet kilka pajacyków dla dodania sobie animuszu. Ale to nie pomogło; wciąż była jakaś otępiąła, cały jej polot wyparował. Przycisnęła knykcie do skroni i masowała je, krzywiąc się przy tym. Przynajmniej ta sprawa była prosta, a jej struktura znajoma i właściwie wystarczyło tylko pokazać się na wizji. Mogła przełączyć się na autopilota. Tylko że sporo jej płacono za wywieranie odpowiedniego wrażenia. Ściągnęła bluzę z kapturem, włożyła perłowobiałą koszulę z marszczonego jedwabiu od Chloé i modny blezer, a włosy upięła w schludny kok i zabezpieczyła go srebrną szpilką. Musnęła wargi pomadką ochronną, przeciągnęła tuszem po rzęsach i była gotowa.

Odchrząknęła i z roztargnieniem zalogowała się kilka minut przed czasem, próbując się skupić. Spóźniał się, ale gdy w końcu się pojawił, Lucie, mimo irytacji, przybrała miły wyraz twarzy.

– Thomas. Punktualny, jak zawsze. Jak się masz?

– Znakomicie, skarbie, a ty? – Thomas Katz, który pochodził z Yorkshire, wynalazł pewien rodzaj biodegradowalnego polimeru plastikowego i obecnie, jak wielu „optymalistów podatkowych”, był rezydentem Księstwa Monako.

– Doskonale – odparła z uśmiechem. Tydzień temu wybieliła zęby, a paznokcie miała idealnie wymanikiurowane. Nikt by się nie domyślił, jaka z niej beksa.

Rozmawiała z Thomasem Katzem przez godzinę i trzydzieści dwie minuty, ale jego firma dostanie rachunek za pełne dwie, skoro kazał jej czekać przez dwanaście minut. Kiedy skończyła, dochodziła druga; kusiło ją, żeby machnąć ręką na lunch, ale miała w planach drugą rozmowę – znacznie trudniejszą konferencję trójstronną – i potrzebowała wzmocnienia. Otworzyła lodówkę i skrzywiła się na widok jej zawartości, a raczej braku takowej.

Musiała podjąć trudną decyzję między wielkim pojemnikiem greckiego jogurtu (od niedawna przeterminowanego), torbą brązowiejących jabłek, zestawem przypraw, chipsami i czymś, co wyglądało na burrito, ale zalatywało rybą. Wyrzuciła zmutowane burrito, a wyjęła torebkę chipsów i jabłko, które zaczęła mechanicznie pochłaniać, żując i jednocześnie ćwicząc uśmiech.

Gdy druga rozmowa dobiegła końca, Lucie nalała sobie wielką lampkę wina, rzuciła się na kanapę, włączyła telewizor – maraton *Przyjaciół* – i próbowała nie myśleć o swoim mazgajstwie w sklepie dziecięcym. Widocznie dopadł ją tam jakiś dziwaczny nastrój. Przecież jest Lucie Yi. Wschodzącą gwiazdą w firmie konsultingowej w zakresie zarządzania. Była zdrowa. Miała przyjaciół, rodzinę i rodziców, którzy zapewнили jej wszelkie przywileje niezbędne do odniesienia sukcesu. Lucie wiedziała, że większość osób mogłaby pozazdrościć jej życia. Wszystko szło gładko jak po maśle. A jednak w dziesiątej minucie trzeciego odcinka *Przyjaciół* szlochała nad trojczkami Phoebe (zawsze miała słabość do Phoebe, która była jej przeciwieństwem pod każdym możliwym względem). Przepląkała trzy lampki Châteauneuf-du-Pape, rocznik 2015, co – szczerze mówiąc – stanowiło obrazę dla tak dobrego wina.

W Nowym Jorku wybiła dwudziesta, gdy Lucie zadzwoniła do Weiny Ling i Sushili („Suzie”) Mahmood, swoich najlepszych przyjaciółek – tej pierwszej od czasów studiów, tej drugiej od podstawówki – w ramach świętego filaru ich przyjaźni, czyli codwutygodniowego międzykontynentalnego rytuału nadrabiania zaległości. Boskie Trio, jak nazywała je Lucie, powstało, jak wiele wspaniałych rzeczy, w czasie pełni Księżycy na pewnej studenckiej imprezie niegrzecznych pierwszorocznych uniwersytetu w Manchesterze. Z udziałem tanich shotów. Suzie nie piła ze względu na swoją wiarę, choć akurat ona nie potrzebowała alkoholu, żeby się wyluzować, natomiast Lucie – nie tyle nieśmiała,

co skrępowana – wręcz przeciwnie. Suzie i Lucie, które trzymały się razem z racji swej długiej wspólnej historii, przyciągnęła do Weiny jej fatalna i hałaśliwa interpretacja *Ironic* Alanis Morissette, wykonana na środku parkietu, gdzie Weina szalała i szczyrzyła zęby, dopóki nie puściła pawia na ulubione bordowe martensy Suzie. Jak się później okazało, Weina golnęła sobie przedtem kilka łyków cydru. Całą trójkę wkrótce połączyła przyjaźń, aczkolwiek dopiero po tym, jak Weina obiecała oddać Suzie trzykrotną wartość jej martensów. Nie zwróciła do dzisiaj.

– Miło cię widzieć! – wrzasnęła Suzie, punktualna jak szwajcarski zegarek. Lucie aż się wzdrygnęła i odsunęła od laptopa. – O, wybacz. Wypiłam już dwie. – Skrzywiła się, unosząc kubek z kawą na wynos. – Ich latte jest podobno „ręcznie robiona”. Bo inne to niby jakie...?

– Istnieją automaty z kawą – odparła Lucie rozsądnie.

– Tak, ale byłam w kawiarni. Wiadomo, że kawy robi się ręcznie! – zakpiła Suzie. To była jej nowa krucjata: walka z hipsterską nowomową. – Po co wszędzie wpychać to zbędne określenie? Jeśli jeszcze raz zobaczę, że coś jest „ręcznie robione”, to przysięgam, że... – Wykonała gest dźgania. – Serio! – Skończyła psioczyć, ochłonęła i ze spokojnym zadowoleniem wróciła do popijania swojej latte za siedem dolców.

Lucie musiała się roześmiać.

– Dzięki, tego mi było trzeba. Niech zgadnę, znowu pracujesz?

– A jak! – odparła Suzie. Była maklerem okrętowym („od morskich szwindli i kombinacji”, jak mówiła) i współniczką w swojej firmie. W Singapurze zaczęła się już niedziela; Suzie miała na sobie biały T-shirt i nie zasłaniała twarzy, a jej lśniąca cera oraz gęste, falujące włosy zebrane w niedbały kok sprawiały, że zupełnie nie wyglądała na swoje trzydzieści osiem lat. – Chyba już dziesięć po dziewiątej? Czy Weina w ogóle się połączyła? – Weina miała wyciszony mikrofon i wyłączoną kamerę. – Serio,

skoro ja mogę się zebrać na czas, to ona też powinna, nieważne, że ma czworo dzieci, tu chodzi o szacunek...

– Jestem tu – wtrąciła się Weina szeptem. Jej kamera się włączyła i ukazała zaciemniony opuszczonymi roletami pokój, na tle którego zniemacka zamajaczył jakiś szary kształt: jej twarz, aż obie przyjaciółki się wzdrygnęły. – Przepraszam, musiałam odłożyć Aster tak, żeby nie obudzić Annabel i Aarona, same rozumiecie.

Trojaczki miały dwa miesiące i nic dziwnego, że nie zamierzały współpracować przy próbach uczenia ich samodzielnego zasypiania dwa miesiące wcześniej, niż sugerował kalendarz niemowlaka.

– Oczywiście, *sayang\**, spokojnie, nie spiesz się – zapewniła ją ta hipokrytka.

– Więc co u was? – wyszeptała Weina. Nawet w ciemnościach było widać, że oczy ma podkrążone, a jedno opuchnięte i przymknięte. Wbrew obyczajom kultywowanym w wielu zamożnych singapurskich rodzinach Weina sama zajmowała się trojaczkami, podczas gdy jej mąż Simon Hahn zarabiał pieniądze, robiąc jakieś ciemne interesy (oficjalnie prowadził kantor kryptowalut). Arwin, ich najstarszy syn, lat pięć, żył w równoległym wszechświecie składającym się z przedszkola, a potem tyłu zajęć dodatkowych, ile dało się upakować w ciągu dnia, zanim Weina odbierała go o osiemnastej.

– Negocjowałam wyjątkowo ważną transakcję w piątek – oznajmiła rozpromieniona Suzie. – W przyszłym tygodniu będzie o tym we wszystkich gazetach, więc poznacie szczegóły. Żeby to uczcić, zabieram wieczorem rodziców do Beelan's Kitchen, tej nowej restauracji z gwiazdkami Michelin. Serwują tam kuchnię Nyonya\*\*.

---

\* *Sayang* (indonez.) – tu: kochana, moja droga (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Kuchnia Nyonya – tradycja kulinarna Chińczyków Peranakan od dawna osiadłych w Malesji, Singapurze i Indonezji. Łączy potrawy kuchni chińskiej z lokalnymi przyprawami.

– Gratulacje, skarbie. – W głosie Weiny zabrzmiała nuta zażdrości. Weina była kiedyś bankierką inwestycyjną, ale rzuciła pracę, kiedy pojawił się Arwin; teraz, gdy rozmowa z przyjaciółkami schodziła na ich kariery, czuła się jak cierpiąca, porzucona kochanka.

– A co u ciebie, Weina?

– Cóż, odkąd trojaczki miewają kolki, czyli godzinami ryczą i ryczą, i ryczą bez powodu, aż sama chcę zacząć ryczeć i uciekać, ale nie mogę, bo kocham je TAK BARDZO... – Weina już nie szeptała.

– Kolka! Cicho! Śpią! – wyszeptała czym prędzej Suzie, na co Weina zaraz wzięła się w garść i powiedziała bezgłośnie: dziękuję.

Lucie znowu poczuła, że coś ściska ją w piersi. Ostatnio tak miała w pobliżu szczeniactków i dzieci. I już nie mogła udawać, że to alergia pokarmowa, bo pozbyła się z diety całego mnóstwa pokarmów alergizujących po tym, jak kilka lat temu zrobiła sobie boleśnie drogie testy, których wyniki jej rodzice skwitowali wybuchem śmiechu i słowem „nauka!”, rzuconym tak, jak się mówi: „czary!”.

– Ale twoje dzieciaczki są takie słodkie – dodała Suzie. – Aż sama prawie chcę mieć dzieci.

I Weina, i Lucie doskonale wiedziały, że Suzie kłamie w żywe oczy: była bardzo szczęśliwą bezdzietną. Tak czy owak, instagramowe dzieci Hahnów były naprawdę urocze.

– Więc możesz wziąć Arwina na weekend, co ty na to?

– Chyba raczej na jeden dzień? Przecież nie na cały weekend... tęskniłabyś za nim, nie? To twój pierworodny.

Weina nie wahała się ani chwili.

– Wcale. Mam pełno dzieci.

Nerwowy śmiech.

– Och, mogę wziąć Arwina, jasne. Ale może na pół dnia, żeby się przyzwyczaić. A właściwie na godzinę.

– Na jak długo zechcesz – zapewniła Weina gorliwie.

Suzie rozerwała torebkę suszonej wołowiny i w panice zaczęła wsuwać jej zawartość garściami.

– No a co u ciebie, Lucie? Jak ci się żyje w Nowym Jorku?

Lucie nie była pewna, na ile powinna być szczera w sprawie swej małej przygody.

– No... Weina, nie sądzisz, że przydałaby ci się pomoc? Zawodowa opiekunka? Ani ty, ani Simon nie macie rodziny w Singapurze – powiedziała, żeby zyskać na czasie.

– Zawodowa opiekunka! – powtórzyła Weina, jakby Lucie doradzała jej znakowanie potomstwa. – Poradzę sobie z własnymi dziećmi. Nie po to moi dziadkowie uciekli z komunistycznych Chin, żebym została niedołągą.

– Hm, okej – wymamrotała Suzie. Żadna z przyjaciółek nie została wtajemniczona w szczegóły ucieczki rodziny Ling z Chin kontynentalnych do Hongkongu na początku lat siedemdziesiątych. Weina powtórzyła im tylko słowa rodziców, że „to było jak w filmie”.

– Chcę przez to powiedzieć – głos Weiny zabrzmiał niebezpiecznie rześko – że skoro moja prababcia sama wychowała jedenaścioro dzieci, bo jej mąż harował w polu, aż umarł, mając pięćdziesiąt cztery lata, a to tak, jakby dzisiaj dożyć setki, i to wcale nie z wyczerpania, tylko na cholerę, to myślę, że jakoś dam sobie radę z trójką niemowląt i jednym dzieckiem.

I wtedy z elektronicznej niani zaczęły dobiegać odgłosy niemowlęcego posapywania. Twarz Weiny stężała. Wszystkie trzy wstrzymały oddech jak na komendę, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło.

Weina uśmiechnęła się drżącymi wargami.

– Mają taki lekki sen! Ale to chwilowe. Na pewno.

– O mój Boże, ty potrzebujesz pomocy – powiedziała Suzie. – Przyznaj, że tak. Dlaczego oboje jesteście tacy uparci?



– Kiedyś zarządzałam kilkoma milionami aktywów dla klientów, którzy traktowali mnie jak gówna, więc nawet jeśli moje rodzone dzieci są obecnie odrobinę trudne, to nad wszystkim panuję – odparła Weina. – Poza tym możliwe, że mam problemy z zaufaniem.

W Lucie nagle jakby coś pękło, ale zdużyła to uczucie. Ze wszystkich sił. I zmusiła się, żeby powiedzieć wesołym, wręcz nonszalanckim tonem:

– Lepiej posłuchajcie, co dziwnego mi się dziś przydarzyło. Szukałam w sklepie czegoś niesamowitego dla trojaczków, no i znalazłam, i niedługo ci to wyślę, Weina...

– Och, Lucie, nie musisz. Cokolwiek kupiłaś, możesz mi to dać przy następnej wizycie, tylko pamiętaj, żeby to było o kilka rozmiarów większe, bo wiesz, jakie są dzieci, tylko biorą i biorą, i rosną, i rosną, i wysysają...

– Ej, Weina! Ponosi cię – opamiętała ją Suzie. – Daj Lucie dokończyć.

– Przepraszam, wybaczcie. Co mówiłaś?

– Ryczałam dzisiaj w sklepie dziecięcym – oznajmiła Lucie tonem swobodnej konwersacji.

Jej przyjaciółki zamarły.

– Że co? – wykrztusiła Weina, zapominając, że ma szeptać.

– Byłam w jednym sklepie z artykułami dziecięcymi i jakoś tak, sama nie wiem dlaczego, może ze stresu albo co, zaczęłam płakać. Czy to nie wariactwo? Ten stres!

– Och, Lucie – powiedziała Suzie i zwróciła się do Weiny: – Już prawie październik, no nie?

– Niemal zapomniałam. Tak mi przykro, Lucie – powiedziała Weina, umykając wzrokiem.

– Nie szkodzi. Już nawet o tym nie myślę.

Za to teraz wszystkie o tym myślały, choć żadna nie przyznała tego na głos.

– Potrzebna ci terapia – orzekła Suzie. – Może jednak nie poradziłaś sobie z całą tą... sytuacją, tak jak ci się wydaje.

Weina przytaknęła.

– Powinnaś z kimś porozmawiać o Marku i... no wiesz.

Mark. Wystarczyło samo wspomnienie jego imienia i tego, co się stało, żeby Lucie zmroziło od środka.

– Nieważne. Może niepisane mi zostać matką. W porządku. Nic mi nie jest. Życie jest cudowne. Wszystko gra. – Minęły już ponad dwa lata, musiała ruszyć dalej.

– Lucie... – zaczęła Weina łagodnym, lecz stałą podszytym głosem kobiety z czwórką dzieci i bez żadnej pomocy.

– Tak?

– Wiem, że nie rozmawiałyśmy o tym od afery z Markiem. Ale... czy ty nadal chcesz mieć dzieci?


Cisza. Teraz Suzie tylko udawała, że coś żuje.


Lucie zmusiła się, żeby o tym pomyśleć. Nigdy nie była typem szczególnie macierzyńskim. Uważała raczej, że dzieci – nawet te sprowadzone na świat przez ludzi jej bliskich, jak Weina, jej starszy brat Anthony czy młodsza siostra Hannah – najlepiej podziwiać z daleka. Jak piękną, choć może trującą roślinę. Albo wściekłego zwierza. Ale wtedy dowiedzieli się o przypadłości Marka, z powodu której możliwość spontanicznego zapłodnienia była wysoce nieprawdopodobna. Więc kiedy lekarz zakomunikował im, że Lucie jest w ciąży, a ona aż zadrzała – z niepokoju, owszem, ale też z dzikiej radości – było to dla niej prawdziwe objawienie. Sama niczego się nie domyśliła; od dawien dawna była na środkach antykoncepcyjnych i myślała, że te dziwne skurcze wieszczą coś bardziej złowieszczo. Może raka? Dla niej szklanka zawsze była w połowie pusta. Ale dziecko? I nagle, kiedy patrzyła na tę szarą drobinę, coś do niej dotarło: szokujące pragnienie uderzyło w nią z całą mocą, zanim zdążyła się pozbierać. Zaczęła szlochać.




*Sięgnij po  
więcej!*



 [www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)